Nr. 41. We Lwowie dnia 9. Października 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pieszczotce losu.

Skarżysz się, dziecię, na ciernie, co bolą;
Od jednej burzy i jednej łez chwili,
Jak kwiat od szronu, już duch twój się chyli,
Jeden dzień chmurny, ty zowiesz niedolą!

Spojrzyj na tłumy, co walczą dokoła,
Nędzą i głodem codziennie smagane;
Spojrzyj na chmurne, schylone ich czoła;
Noce ich pracy ty policz niespane,
Ciężkie tym bolem, co łzami nie spływa,
Ani pacierzem do nieba ulata,
Ale rozpaczą pierś wyschłą rozrywa
I klątwą bluźni potęgom wszechświata.
Czemże twa skarga i ból twój dziecięcy
Wobec tej walki — męczarni tysięcy? —

Czyliż ty sądzisz, że serce twe małe
Jest w sobie światem? że duchy te białe
Wieczną je będą kołysać pieszczotą?
Wszakże kwiat każdy za życie na ziemi
Zapłacić musi, bądź łzami cichemi,
Bądź złotych listków, w jesienny dzień — słotą.

Czemże twe życie? — ze wspólnej tkaniny
Zerwane — drząca to nić pajęczyny.
Lecz zżyj się sercem z uczuciem miljonów,
Wniknij w mozolne ludzkości dążenia,
Jedną bądź iskrą Bożego promienia;
Zgodnym bądź dźwiękiem w harmonji tych
[tonów,
Co światy wiążą w cud jeden nad cudy,
Wspólną żyj dolą, wspólnymi żyj trudy,
A własna troska w twych oczach zmaleje,
I z walk uniesiesz skarb życia — — —
nadzieję.

Anna Neumanowa.

Z Wisły do Izdebnego.*)

Cesi poświęcam.

Siwy konik ruszył z miejsca oszczędnym truchtem. Doświadczony i przezorny, wiedział, że cel drogi za górami leży, więc zachowywał siły na dalsze trudy. O bądź spokojny, biedny, spracowany siwku! Nikt cię naglić nie będzie, bo komuż pilno pożegnać czarowną dolinę młodej Wisełki? któżby nie chciał wpatrywać się jak najdłużej w wyraziste oblicze cudnej przyrody górskiej!...

Wrzesień końca dobiega, ale tu, w Beskidach śląskich, nie znać jeszcze chłodnego jesieni oddechu. Słonecznym błękitem jaśnieje strop niebieski, majową barwą śmieją się łąk kobierce, a graby, wiązy, mocne dęby, lekkopióre jesiony, śliczne jawory, szemrzące lipy, nic jeszcze nie utraciły z zielonej krasy. Zielonym też jest wyniosły świerk, pan gór, i zdaje się mówić wieczystą swą szatą: „śmierć, — jedynie śmierć może mię zmienić, jak ona tylko zmienia serca czyste, wierne, dumne!...“

Wprawdzie wytworna jarzębina stanęła, niby panna młoda mazowieckich dolin, w koralach cała. Wprawdzie warkocz białopiennej brzozy błyska tam i ówdzie złotym, gdyby dukat, listkiem, a dwie — trzy gałązki na buku, zapłoniły się ogniście. Ale ową czerwień i złoto i płomienie zrodziły nie zimne łzy jesienne: dało je drzewom słonko, — lube słonko, co porzuciwszy teraz górne szlaki letnie, przysunęło się — na pożegnanie — bliżej do ziemi-kochanki i patrzy ludziom prosto w oczy, serdecznie, ciepło, miłosiernie, jakby było ot takiem sobie łaskawym królem ziemskim — królem chłopków, jak nasz Kazimierz, — ostatni z piastowego rodu pan...



Chata góralska.**)

...Biały konik parsknął dla dodania sobie otuchy, wózek zaturkotał na moście, przedostał się na lewy brzeg Wisełki i potoczył się w południowym kierunku, przeciw biegowi wody, dnem doliny, najgęściej w tem miejscu zaludnionej. Na prawo, pod ścianą Skalnitego, bieleje murowany dom bogacza-wójta, poniżej wznosi się grupa chat, czyli — po śląsku — dwór, noszący nazwę „do Kędziory“, jakkolwiek dziś właścicielami poszczególnych zagród są Raszkowie, Bujakowie i t.d. Chaty, szare, zbudowane w oryginalnym stylu miejscowym, ujęte w zieloną ramę drzew, ładnie odbijają od ogólnego tła. Na lewo od nas wychyla się z bukowych gajów „kępki“ pod Kamiennym groniem urocza willa pani Hoffowej i wdzięczy się w porannem słońcu, świecąc złotawym blaskiem smerekowych desek.

Przez krótką chwilkę widać chaty, willę, nawet uprzejmą właścicielkę tej ostatniej, żegnającą zdala ostatniego gościa, i nagle cały obrazek zasuwa się w góry, znika i ustępuje miejsca innemu.

Mijamy teraz coś w rodzaju miasteczka na małą skalę. Z jednej strony drogi duży biały kościół ewangielicki, naprzeciw murowany dom pastora, dwa obszerne budynki szkolne, również z cegły, trzy karczmy, z których dwie, piątrowe, okazalsze od szkół, do żydów należące, naszą nazwę hoteli, sklep bławatno-spożywczo-galanteryjny — wywołują to wrażenie miasta, nie mówiąc już o jatkach, pracowni szewskiej, kołodziejni i kuźni, skromniej wyglądających.

Wisła, przeczysta i dzika doliny królowa, zatacza w tem miejscu szeroki łuk pod zielone góry, aby ominąć „miasteczko“. Aż trzy hałaśliwe karczmy, płoszą tę śliczną, zstępującą

*) Prastara nazwa ślicznej wsi górskiej, u źródeł Olszy położonej, zmienioną została urzędownie przez „cywilizatorów“ niemieckich z Izdebnego na Istebną. Górale jednak po dziś dzień używają w mowie dawnej formy, zgodnej z duchem języka, tudzież miejscową tradycją o powstaniu pierwszych osad. I buntownicza piosenka, lekceważąc sobie rozkazy niemieckie, śpiewa jak dawniej: „Moja mamulińko, zapleććież mie w siedem, Bo sie mie spodobał na Izdebnem jeden“ — albo też: „Przez Izdebne cesta cembrowana, siedzi tam dzieweczka, siedzi tam dzieweczka upłakana...“

**) Illustracje do niniejszego artykułu zawdzięcza „Tydzień“ uprzejmości p. Bohdana Hoffa, który łaskawie udzielił nam swoich klisz. (Przyp. Red.)

z majestatycznych lasów Baraniej, — lasów uroczystych i cichych, jak świątynia. Lecz Wiślanie inne mają upodobania, niestety, i żadnej z karczem nie brak nigdy gości...

I miasteczko zniknęło z przed oczu, nie żegnane przez nas nawet zwykłą formułką góralską: „z Panem Bogiem!“ — Znowu witamy śliczną Wisełkę, której w tem miejscu potok Dziechcin składa w darze, niby paź rozmiłowany w królowej, kryształy i perły przejasnej swej fali. Samotna, wązka dolina potoku olśniewa wzrok bajeczną roślinnością, słonecznym blaskiem i znika, jak senne widzenie. Teraz krajobraz górski ożywiają dwie czerwone krówki: bre, rozumne, — umieją i lubią śpiewać przy paszeniu „statka“. W chmurne dni śpiewka zastępuje im słońce, w pogodę wylewają w niej nadmiar uczuć, budzącej się pod czarem przyrody duszyczki. Nasza „pastyrka“ zdawała się być również porwana pieśnią. Upajały ją zapewne nie słowa, których znaczenia rozumieć nie mogła, lecz melodja, oryginalna, tęskna, — upajał skowronczany dźwięk własnego głosu.

Piosnka jej mówiła:

„Zachodzi słoneczko za las malinowy,
Straciłach wioneczek rozmarjonowy...
Owczarze, owczarze coście owce paśli,
Straciłach wioneczek, — jeśliście nie naśli?“



Główna dolina Wisły: horyzont zamyka Czantorja, pod nią na lewo od widza Krzywy, na którego tle widnieje kościołek katolicki i zagrody, zwane „do Kędziory“. Na prawo Kamienny groń i kościół ewangielicki, naprzeciw tego ostatniego wspomniane budynki murowane.

Malina i Kwiatula, i ich „pastyrka“, taka „malućka“ — nie większa chyba od dziewczynki w „Czerwonym kapturku“, którą to wilk pożarł. I ta ma „szateczkę“ w czerwone róże na głowie, lecz wilka się nie obawia, — drapieżników niema na Śląsku — i śpiewa z zapamiętaniem. — Pieśń, która nie towarzyszy już Wiślanom przy pracy rolnej i zanika coraz bardziej wraz z oryginalnym strojem i obrazową mową, ta pieśń, wygnana z pól i łąk, schroniła się na „pasionki“. Dzieci wiślańskie, — nawiasem mówiąc, niesłychanie sympatyczne, ładne, do-

— „Nie naśli, nie naśli, alechmy widzieli,
Jako się un kuloł po wójtowskiej roli.“
— „Bogdajby ta rola korzeniem zarosła:
Mojego wioneczka do morza zaniosła!...“

Daleki już, niknący śpiew dziecka pochłania nagle zdwojony szum wody. To potok Kopydło uprasza Wisłę z uniesieniem gwałtownem o przyjęcie wód Łabajowa i Głębieczka, które jej niesie od południowych krańców gminy, z wysokich gór szczytów...

Doliną tego potoku pobiegnie odtąd i nasza droga. Żegnamy — z żalem — Wisełkę w tem

miejscu, jakby wybranem do smutnych pożegnań, u stóp cmentarza, położonego na ostatnim zrębie wysokiego (775 m) Kozińca.

Piękna, jak dziwo, natura otacza Wiślan za życia i przedziwnie pięknem też jest pośmiertny ich przytułek. Górale — na wyniosłem wzgórzu, w świerkowym gaju układają się na wieczny spoczynek po krwawych trudach żywota. Kości ich rozsypują się w proch pod miękkiem mchów okryciem. Paproć chłodzi ich groby w żary letniego południa wachlarzami powiewnych liści, „ćmawą“ nocką jesienną — smereki zawodzą nad nimi żałośnie, a Wisła i Kopydło śpiewają im od wschodu i zachodu srebrną pieśń ukojenia. „Śpijcie słodko, mili gazdoszkowie i gaździnki — szemrzą chybkie, górskie fale — śpijcie! Trudziły się ciężko nóżki wasze za życia, chodząc po groniach, po wysokich, stąpając po „skolach“, po ostrych, ale teraz odpoczną. Omdlewały „ruczïczki“ wasze od kosy i sierpa, omdlewały od pługa, co kamienistą rolę kraje po stromych uboczach, ale teraz leżą cicho, nieruchomie na sercu cichem, nieruchomem. Mroczyły się oczka wasze i od łez i od „demu“ ciemnych jeszcze chat, ale teraz chłodne rosy je rzeźwią. Paliło was słonko, szarpały wichry, biły w was krupy*), ale teraz ziemia litościwa osłania was, otulanie kwabową**) pościelką, ino kamieniem mocnym, twardym, jak twardą była za życia dola wasza. — Śpijcież słodko, mili gazdoszkowie i gaździnki, śpijcie!...“

(Dokończenie nastąpi).

M. Wysłouchowa.

*) Grad.
**) Puchową.

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza jako Epos.

(Dokończenie.)

VI.

Streszczam się. Wskazałem trzy znamienne podobieństwa „Pana Tadeusza“ z epopejami samorodnemi: po 1sze w zakresie poezji, indywidualizmu i tradycji, po 2gie w zakresie wiary uczuciowej, wreszcie po 3cie w zakresie epickiego pojmowania świata i sztuki. Cechy te wynikają, już to ze stosunku poety do przedmiotu, już to z natury sił twórczych, jakie z siebie wydobył. Wszystkie te podobieństwa łączą się w szczerości nadzwyczajnej, w sile samorodnej, która czyni Mickiewicza tak niepodobnym do żadnego z mistrzów pieśni innych epok i czasów. Wśród twórców epopei literackich niektórzy mają więcej głębokości lub powagi, jak: Dante, Milton, inni czarują bujniejszym polotem fantazji, jak: Ariost, lub Słowacki, ale żaden z nich tak jak Mickiewicz nie stanął obok Homera, jako poeta prawdy, streszczającej w sztuce znamiona rasowe. Przez to właśnie silne poczucie związku ze sferą, która go wydała, przez ten duch nawskroś narodowy, Mickiewicz posiadł moc prawdy wewnętrznej, dzięki której nietylko złamał pęta rutyny szkolarskiej i małpowanie francuzczyzny w literaturze, ale stał się potęgą jednego z najpiękniejszych wybuchów twórczości literackiej na świecie.

Podobieństwo częściowe Mickiewicza z epikami pierwotnymi, świadczy, że czuł on krążenie głębokich źródeł, w których poezja czerpie swą odmładzającą siłę.

Nie ubliża to bynajmniej wielkiemu synowi naszych czasów, że grały w nim stare instykta, rozwinięte w zaraniu życia dziejowego ludów.

Świętochowski w świetnej rozprawie: „Poeta jako człowiek pierwotny“ wykazał, że w duszy wieszcza odzywają się poglądy i marzenia z owej doby, gdy ród ludzki kołysał się jako dziecię na łonie natury. Jestto piękne rozwinięcie i dopełnienie idei Lombrosa z tą różnicą, że włoski prawnik połączył dzisiejszego zbrodniarza i człowieka zwyrodniałego z człowiekiem pierwotnym, gdy Świętochowski znalazł nić, kojarzącą te dwie fazy rozwoju nie w nizinach, ale na szczytach duszy ludzkiej.

Rzecz prosta, że obok podobieństwa, jakie wykazałem, istnieje także wiele różnic, których bliższy rozbiór nie leży w zadaniu niniejszej pracy. Jedną z tych różnic jest humor, który we wszystkich literaturach bywa znamieniem epok dojrzalszych, a nie młodzieńczych.

To cierpki owoc refleksji, chwytającej marności lub nędzę życia, okrytą w arlekińskie skrawki pozorów i konwenansów. W epopejach Homerowskich pomimo pogodnego nastroju raz jeden tylko w IX pieśni „Odyssei“ siła humoru wybucha żywiej, z werwą naiwnego rozbrykania swawoli.

Tymczasem w „Panu Tadeuszu“ humor subtelny, a głęboki igra bardzo często, niby uśmiech na ustach człowieka, który widzi przywary i dziwactwa drogich osób, czasem z nich lekko żartuje, czasem przygania z goryczą, ale

nigdy nie szydzi gorzko, ani chłosta do krwi satyrycznym biczem[20]).

Niema natomiast w arcydziele Mickiewicza poezji miłości małżeńskiej, która stanowi bardzo wybitną cechę wszystkich epopei samorodnych, odbijających patryarchalne stosunki w rodzinie. Hektor i Andromacha, Odysseusz i Penelopa, Rama i Sita, Nalas i Damayanti, Zygfryd i Krymhilda, oto są pary małżeńskie, uwiecznione przez wielkich epików, jako wcielenie miłości trwałej, zahartowanej w doli i niedoli.

Tymczasem Tadeusz i Zosia grają rolę stosunkowo nie wielką, są mili i poetyczni przed ślubem. U Mickiewicza miłość małżeńska w „Grażynie“ i „Konradzie Wallenrodzie“ staje się poetyczną i podniosłą, dopiero przez ofiarność i cierpienia, jakie ponosi w imię wielkich idei.

Od wszystkich wreszcie wielkich poetów epickich różni się tem Mickiewicz, że nikt nie ukochał tak gorąco, jak on, przedmiotu swej pieśni. A jednak ta miłość nie zaszkodziła stronie artystycznej poematu, tak samo, jak promienie słońca, wpadające do wnętrza katedry, nie zacierają piękności linji architektonicznych, ale je wydobywają z mroków i półcieni.

Ta miłość, spotęgowana przez naczelną ideję wielkiej poezji naszej łącznie z cechami gatunkowemi, jakie wyżej określiłem, pozwala uważać „Pana Tadeusza“ za epopeję nawskróś rodzimą, daleko bardziej rodzimą, aniżeli, wszystkie epopeje literackie. Nie ma „Pan Tadeusz“ bohatera dużej miary, wedle akademickich wzorów, ale mistrzowi nie chodziło o poezję jednostkowej energji. Tak jak w każdem słowie, w każdem tchnieniu życia -- myślał o całym narodzie. Poezja jego zostanie na zawsze krynicą uczuć sympatycznych dla otoczenia, dla tego posiada wysoki stopień tej siły uspołeczniającej (socialité), którą, najznakomitszy ze spółczesnych estetyków, Guyau, uważa za cechę wielkiej sztuki.

Mniejsza zresztą o tytuł epopei z taką lub inną klasyfikacją, to kwestja szematyczna, mniej ważna dla krytyki filozoficznej. To pewna, że „Pan Tadeusz“ posiada cechy gatunkowe poezji szczerej i wielkiej, w której tętni siła rasowej młodości. Chmielowski w swej pierwszej monografji, poświęconej naszemu wieszczowi, twierdzi słusznie, że „arcydzieło Mickiewicza miałoby takie znaczenie dla literatury powszechnej, jakie mają epopeji homeryczne, gdyby nasza cywilizacja była dla postępu ludzkości, czem była cywilizacja helleńska“[21]).

Nie chodzi nam jednak wcale o popis próżności, ani o rywalizację sławy naszego poety z obcymi genjuszami, chociaż jego dzieło zostanie na zawsze trwałym pomnikiem naszej kultury, nawet na światowej widowni literackiego ruchu. Poemat Mickiewicza jest dla nas cennym, jak przyjaciel, którym możemy się szczycić przed światem, chociaż najdroższym bywa w ciszy domowej, gdy niesie sercu pokrzepienie i otuchę.

W przepięknych fragmentach drugiej części „Bieniowskiego“ — Słowacki z zachwytem mówi o tej „cudnej epopei“ :

z taką chwałą
Potrącał lutnią ten śpiewak Litwinów,
Że myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało,
Chociaż Godfredów nie miało ni Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłem zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić,
Jednak się przed tym poematem wali,
Jakaś ogromna ciemności stolica . . . . .
Coś pada... myśmy słyszeli, słuchali,
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem.
Idźmy, znów czasu Bóg postąpił krokiem.

Tak jest. Idźmy naprzód, nie zasklepiajmy się w rozważaniu kształtów przeżytych. Ale w tym pochodzie mamy prawo z otuchą i dumą spoglądać na wieczyście piękne zdobycze sztuki i kultury naszej. Chociaż bohaterowie „Pana Tadeusza“ nie burzyli żadnej „stolicy ciemności“, jak bohaterowie Tassa, jednak w tym pięknym obrazie stwierdził Słowacki, że arcydzieło Mickiewicza ma trwałość wielkich dzieł twórczego słowa, którego jasność według słów ewangielisty“ w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły“ i nie ogarną.

Józef Kotarbiński.

10)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Jednocześnie owiewały go prześliczne zapachy salerów i nadewszystko ulubionej pietruszki. Strach strachem, apetyt apetytem. Zachowywał on jednakże środki ostrożności, pom-

[20]) Z powodu tego humoru p. E. Chojecki, przeprowadził zupełnie niewłaściwą paralelę między „Panem Tadeuszem“ a „Don Kichotem“ w cytowanej już broszurze francuskiej, która w swoim czasie miała wielką zasługę, zaznajamiając zagranicę ze skarbami naszej poezji. Romans Cervantesa opiera się jednak wyłącznie na ironji i zajmuje w stosunku do przeszłości stanowisko nawskróś negatywne, a więc wprost przeciwne temu, jakie zajął nasz poeta wobec rodzimej tradycji.

[21]) „Adam Mickiewicz“ -- zarys biograficzno-literacki Piotra Chmielowskiego. Tom II. Warszawa, 1886. nakład Gebethnera i Wolfa, patrz Tom II. str. 231.

ny, że gdzie jest zbyt dobrze, tam nie może być zbyt bezpiecznie. Byłby się nawet wycofał z tego raju, ale jak?.... Wpadł tutaj w nadzwyczajnym strachu i na śmierć zapomniał, z której strony przyszedł.

Nastusia, dziewka dworska, szła przez ogród, a widząc zwierzę bez uszu, podobne do zająca, pobiegła zaraz do kuchni i opowiada: „Zając, nie zając, dziwo jakieś, siedzi w pietruszce“!

Pan Filip, kucharz, porwał strzelbę, przyzwał do nogi Bekasa i kazał się dziewce prowadzić, a za nim pobiegła wszystka czeladź kuchenna i żądna nowości, spotykana po drodze rzesza.

Szarak coś przewąchał, czy przeczuł; bo kiedy orszak myśliwski, .dech powstrzymując, wchodził w pietruszkę, on już wtedy w sad pomykał. Kucharz powierzył teraz Bekasowi dzieło wyszukania zbiega, a jednocześnie zagroził dziewce: „Niech-no tu nie będzie zająca!... Dam ci, małpo!... Zwódź sobie takich, jakeś sama!“

Widać to było odrazu, że szarak z pietruszki drapnął i wyżeł natychmiast stan rzeczy zwęszył, gdyż popędził w cebulę, z cebuli pognał w sałatę, z sałaty wyniósł się do sadu i już biegł cwałem z gorącym pośpiechem psa, który prawie widzi nosem zająca przed sobą. Nareszcie Bekas zachwycił i okiem zmykającego po ścieżce szaraka, a z piersi wyżła wyrwał się teraz okrzyk niecierpliwego zapału myśliwskiego.

Posłyszany psi głos dodał nogom szaraka ogromnego bodźca. Kot gnał z górki na złamanie karku, a tak się rozpędził. że, chociaż spostrzegł idącą naprzeciw ogrodniczkę, nie zdołał już ani w bok skoczyć, ani przystanąć. Z szybkością wartkiej strzały wpadł pod nogi kobiety, przewrócił ją na wznak i pomknął dalej.

Ogrodniczka zaledwie wydała okrzyk „ah“, kiedy nadbiegł Bekas, z niezrównanym zapałem przeskoczył przez kobietę, leżącą na jego drodze, i popędził za szarakiem.

Po chwilce zjawił się tu kucharz cały w płomieniach — strzelba z odwiedzionemi kurkami — i strapił się, widząc na ścieżce parę nóg niewieścich w trzewikach, pończochach.

Dopieroż ogrodniczka zrywa się na nogi i purpurowa cała, z roziskrzonemi oczyma wykrzykuje: „Cóż to—to—to za gwałty wyrabiacie sobie po ogrodzie? Jak to psy napadają tu na ludzi spokojnych?... Polowania takie, hece różne!... Ho, ho, ho, widzicie go! A garnków, rondli, flaków pilnować!“

Mówiąc to, zdradziła coś, jakby gotowość poparcia czynem słów swoich. Pan Filip nie poszedł też za przykładem zająca i Bekasa: zręcznie ominął srodze rozzłoszczoną niewiastę i pośpieszył za wyżłem, a potok obelg sypał się za nim nieustannie.

Jest w morzelańskim sadzie, tuż przy parkanie, stary domek drewniany, skład wszelkich nasienników, zawsze na kłódkę zamknięty. Wróble podczas zimy przez dziury w dachu na noclegi tam się chronią, a kuny, tchórze i koty polują na nie tutaj. Kiedy szarak do tego domku dotarł, miał już Bekasa na karku, a mało czasu do namysłu i niewiele środków ratunku do wyboru. Spojrzał, zobaczył jamę pod ścianą, uderzył w nią, wcisnął się i w oka mgnieniu był wewnątrz, w czterech ścianach, naokoło których słyszał teraz gwary ludzi i niecierpliwe skowyty wyżła, nadaremnie usiłującego wleźć w jamę.

Teraz nasz szarak musiał być prawdziwie zającem podszyty, widząc swe położenie bez wyjścia, a jednak błysła nieszczęśliwemu gwiazda nadziei...

Kucharz i z nim czereda służby przybiegają pod domek, gdzie Bekas trzyma nos na jamie, przedniemi zaś łapami namiętnie rozkopuje ziemię, przytem ciągle niucha. Pan Filip namyślał się przez krótką chwilę i zawołał z miną człowieka, który zrobił wielkie odkrycie: „Mamy go!“ Z temi słowy ukazał palcem domek i czemprędzej pochwycił jakąś tykę, zaczął nią obmacywać jamę. Wnet się przekonał, że jama miała ujście w domku i znowu radośnie obwieścił tłumowi: „Będzie nasz!“

Na wszystkich twarzach malowało się niezmierne zadowolenie. Chodziło teraz o to jedynie, aby się dostać wewnątrz domku. Ale drzwi tego domku były zamkięte na kłódkę, a klucz w rękach ogrodnika, z którym stosunki przyjazne — jak kucharz słusznie mniemał — zapewnie się już nadwerężyły z powodu przykrego przypadku ogrodniczki.

Co tu robić? Naraz jednemu z kuchcików przyszła do głowy myśl bardzo szczęśliwa. „Wyrwać skobel, zabrać zająca, a potem znowu wbić całe to zamykadło!“

Gdy niecierpliwsi zaglądali przez szpary i przysięgali, że widzą szaraka, inni, ludzie czynu, podważyli patykiem skobel i drzwi się rozwarły. Zachowując środki ostrożności, kucharz wszedł do składu nasienników, a tłum z bijącem sercem w milczeniu oczekiwał dalszego przebiegu wypadków.

Kucharz uchylił drzwi i tajemniczem skinieniem przyzwał trzech chłopaków z czeladzi, aby mu pomogli szukać zająca, który widocznie ukrył się gdzieś w kupach łodyg roślin nasiennych. Powołani z namaszczeniem zabrali się do dzieła, zmieszali, przewrócili w nieładzie nasienniki, starannie podług gatunków poukładane i nie znaleźli upragnionego zająca. Gdzie on się podział? Rzecz dziwna, prawie cudowna!..

Właśnie pan Filip zaczął tę sprawę rozumem ważyć, rozbierać, kiedy pod drzwiami

domku zjawiła się ogrodniczka w towarzystwie męża i trzech jego pomocników, uzbrojonych w rydle.

— A to co znowu? — krzyknął ogrodnik, otwarł drzwi gwałtownie, straszliwym wzrokiem zmierzył zbladłego ze strachu kucharza, a plondrujących chłopaków za uszy brał i za drzwi wyrzucał.

— Psia-cię-mać łajdaki, nicponie, zamki mi tu będziecie odbijali?... A wara od ogrodu!

On jeszcze nie skończył, kiedy ogrodniczka już głos podniosła i zaczęła kucharzowi maścić, wycierać kapitułę, że aż uszy bolały słuchać. Przyskakiwała do niego, zaglądała mu w oczy, podobno wyraźnie w twarz plunęła.

Widział pan Filip, że już pierzchła cała rzesza, która tu z nim przyszła ścigać zająca, przeto osamotniony nie chciał się narażać na niechybnie jak najgorsze skutki stawienia oporu i w milczeniu wykonywał bardzo zręczny odwrót. Dopiero, kiedy się już znalazł pod kuchnią, wzniósł w górę prawicę i pogroził nią ogrodniczce, co miało znaczyć, że kuchnia wypowiada wojnę ogrodowi.

Pan Filip powrócił wściekły z tego polowania. Ale cóż się stało z zającem?

Gwiazdką nadziei, która błysnęła więźniowi w czterech ścianach domku, było okienko niewielkie, rzucające mdłe światło na kupy nasienników. Rośliny, zwierzęta, ludzie ku słońcu się garną. Niepokojony przez wrzawę oblegających, wylazł na piramidę jesiennych łodyg, wyjrzał na świat okienkiem, zobaczył pola, łąki, lasy i już wiedział, co zrobić. Jakie to szczęście dla prześladowanych, że istnieją różne mysie jamy, okienka! Trzeba było wielkiego zacietrzewienia ze strony kucharza i jego pomocników, że nie pojęli od razu zniknięcia szaraka.

Bezuchy pozyskał sławę czarownika i dziewki na kuchni często opowiadały sobie o nim bajki. Pan Kacper, szafarz, drwił potem z kucharza.

— Na zająca jedyny sposób posypać mu soli na ogon! — Takie przykrości odbijał kucharz na dziewce, która mu była przyniosła wiadomość o zającu w pietruszce.

— Małpo jakaś, ty pomyj i psów pilnuj, nie zajęcy!

Oto mamy parę kartek, wyrwanych z dziejów strasznego roku w życiu szaraka, a nie na tem koniec.

Psy morzelańskie, trudniące się rzemiosłem myśliwskiem, nie były zbyt straszne. Ogary coraz więcej wychodzą obecnie z mody i tylko myśliwi starszej daty od czasu do czasu polowali tu z nimi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LILI.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

— Jańcio zaraz przyjdzie; niech pan poczeka — szepnęła i, nie zważając na niego, krzątała się dalej koło obiadu.

Zakrzewski usiadł przy stole; niepokój nim podrywał, spoglądał na zegarek, podnosił się, przypatrywał się pustej, zaśnieżonej ulicy, wzdychał, zapalał papieros po papierosie, a ciągle myślał: Dlaczego ona nie przyjechała?

— Co panu jest? — zapytała go ze współczuciem.

— Nic... nic! Bo widzi pani, niespokojny jestem o Lili, pojechały na wigilję, miały powrócić w nocy, a niema ich i dzisiaj — mówił gorączkowo.

— Pocóż się mają śpieszyć! Tam jest im bardzo dobrze... — powiedziała zimno, — akcentując ostatnie słowo.

— Tak, pewnie, ta siostra gospodyni ich ma być bardzo porządna kobieta.

Gałkowska zaczęła się śmiać cicho, obrzydliwie i długo, aż jej sinawa twarz pokryła się krwawemi plamami.

— Z czego się pani śmieje? — zapytał porywczo.

— Śmieję się z tej siostry gospodyni, która ma wąsy, brodę i majątek pod miastem.

— No tak, mówiła Lili, że ten majątek jest niedaleko pod miastem.

Nie zrozumiał jej.

— Jakże pan spędził wczoraj wieczór? — zagadnęła spokojnie.

— Jak można najgorzej.

— Bardzo dobrze panu. Zupełnie pana nie żałuję, bo po co pan się marnuje w teatrze? — pytała, krając ciasto na makaron. — Z miłości nieprawdaż? — dodała.

— Pani wiesz...

— Wiem znacznie więcej jeszcze; wiem i to, że pan jesteś młody, szlachetny, uczciwy i bardzo niedoświadczony, bardzo wierzący ludziom, pięknym słowom, słodkim spojrzeniom, przysięgom, słowem temu, czemu najmniej można wierzyć.

— Nic pani nie rozumiem; do czego pani zmierza? — zapytał.

— Ja? do niczego, mówię ot to, co mi życzliwość podyktowała. Żal mi poprostu pana.

— Dziękuję pani za współczucie i, żeby uspokoić pani dobre serce, powiem otwarcie, że już tylko dni kilka przedziala mnie od wyjazdu z teatru. Jadę zaraz po benefisie.

— Dobrze pan robi, bardzo dobrze. Przejrzał pan nareszcie, to i lepiej Być tak oszu-

kiwanym nikczemnie, to nawet trochę śmiesznie — ciągnęła ciszej.

— Kto jest oszukiwanym? Kto oszukuje? Mówże pani na Boga! — zawołał.

— Przecież całe towarzystwo wie, ba, całe miasto mówi o tem...

— Ale o czem? Błagam panią, mów...

— A choćby o tem, że Lili wcale nie pojechała na familijną kolację do siostry gospodyni...

— Tylko gdzie, do kogo?! — krzyknął, uderzony temi słowami, jak batem.

— Podobno do hrabiego. Wiesz pan, ten, który jej wciąż kwiaty przysyła.

— Nieprawda! Kłamiesz pani! To nikczemność tak spotwarzać czystą dziewczynę, to podłość!

Syczał z oburzenia i gniewu, posiniał, zaciskał pięści i patrzył na nią takim nienawistnym wzrokiem, że odsunęła się za piecyk.

— Nie krzycz pan i nie wymyślaj! To, co powiedziałam, wiedzą wszyscy; możesz się pan spytać Korczewskiej, a powiedzą pewnie więcej...

— Co więcej? Mów pani, ale uprzedzam, że Lili jest moją narzeczoną.

— Bardzo mi przyjemnie... pan się unosisz... ja z życzliwości dla pana mówię...

— Niech panią najjaśniejsze pioruny spalą z taką życzliwością! — krzyknął wściekły, nie umiejąc już panować nad sobą, i wybiegł na ulicę.

— Nędznicy! nędznicy! — myślał z rozpaczą i gniewem. — Lili! jego Lili! a ludzie szakale! I pomiędzy taką zgrają żyć musi jego słodka dziewczyna!

Poszedł śpiesznie do jej mieszkania.

— Jeszcze nie przyjechały. Czemu siedzą tak długo, czemu? — myślał wciąż w kółko i chodził bezmyślnie po mieście cichem, jakby wymarłem.

A gdy po nabożeństwie dzwony uderzyły i lud tłumnie wylał się z kościołów i zaczernił po placach i uliczkach, Zakrzewski, nie chcąc się spotkać z nikim, uciekł do parku.

Chodził tam samotnie i rozmyślał o Lili.

Nędzna potwarz, nikczemne oszczerstwo! myślał o słowach Gałkowskiej, ale te słowa gryzły go boleśnie i budziły jeszcze niejasne, głuche podejrzenia, których naprożno chciał się pozbyć. Znał ją całych sześć miesięcy, znał każdą jej myśl, każde uczucie, całą głęboką szczerość i prostotę jej natury; wiedział, że to była dusza tak czysta, jak te śniegi, na które w tej chwili patrzył; wiedział, że ona nie ma tajemnic przed nim, bo tajemnic w swojem życiu nie ma żadnych; znał z opowiadań matki prawie każdy tydzień jej krótkiego życia; wiedział wszystko, a pomimo to podejrzenia, jak ślizkie, zimne węże, wiły mu się przez serce.

Te roje wielbicieli w każdem mieście, których zresztą zawsze mają młode i przystojne aktorki, z których razem z nią się wyśmiewał, te bukiety, jakiemi ją zasypywali, owacje, jakie jej urządzali, te listy miłosne, które razem czytywali, bawiąc się przytem wyśmienicie — o tem wiedział; wiedział, że to wszystko ześlizgiwało się po jej duszy, jak rosa po szkle, bez śladu. Tak, wiedział, a pomimo to podejrzenia jego nie były mniejsze, lecz rosły z przerażającą szybkością.

— Wiem niby wiele, ale ileż może być rzeczy, których nie wiem! których moja ślepota nie widziała, moja ufność nie przypuszczała nawet! — myślał, szczękając z bólu zębami.

— Cóż to za medytacje? Dzień dobry panu!

Drgnął gwałtownie i podniósł głowę. Stały przed nim strojne, piękne, uśmiechnięte doktorówny, z życzliwością wyciągając do niego ręce.

— Głowa mnie bolała; wyszedłem się przejść — tłumaczył się niechętnie.

— Szczęśliwy ból, bo nam pana dał w niewolę, z której nieprędko wypuścimy.

— Dlaczego to pan wczoraj nie był łaskaw przyjść do nas?

— Musiałem być z kolegami, a potem... potem...

— Szkoda, bo czekaliśmy na pana do dziesiątej; ale dzisiaj pana zabieramy natychmiast do nas na obiad. Niech się pan nawet nie próbuje wyrwać! — mówiła ze śmiechem młodsza, niebieskooka blondynka, w b ękitnym kaftanie, obłożonym białem futrem, i zaglądała mu bardzo życzliwie w oczy.

— A przytem mama dosyć ważny interes ma do pana — dodała starsza, ubrana zupełnie czarno, co przy czarnych włosach, woalce i śniadej cerze sprawiało wrażenie żałoby.

Opierał się trochę, ale poszedł i usiłował być rozmownym, uprzejmym i nadskakującym pannom, co im się bardzo podobało, bo miały na niego pewne zamiary. Doktor, człowiek bardzo dobry, przyjął go z serdecznością.

Otoczyła go taka miła atmosfera, że czuł dla nich wdzięczność, iż traktują go, jak człowieka ze swej sfery. A przy tem byli tacy dobrzy, uprzejmi, dyskretni, uprzedzający; salon, do którego przeszli po obiedzie, miał eleganckie meble, puszyste dywany i lśnił pewnego rodzaju wykwintem, którego nie mogło być u kolegów, a po którym tęsknił bezwiednie. Jakieś kwiaty pachniały bardzo mocno w żardynjerce, przy fortepjanie, na którym blondynka wygrywała cały swój repertuar, a potem brunetka śpiewała kilka piosenek w rodzaju „Dziewczę z buzią jak malina“, olśniewając nietyle głosem, ile doskonale uwydatnionym biustem i pałącemi oczami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z drukarni K. Wiesnera, we Lwowie, Akademicka 16.